



Gdy gość w wiejskiej restauracji poprosi o wykalczkę.

## Sowieckie żołądk!

Do Barcelony zawinął okręt so-wiecki „Udarnik”. Nie starajmy się dociec, co przywiózł. Dość, że zawinął. Marynarze porozdzielali się po mieście.

Jeden z sowieckich majtków trafił do małej knajpki. Trochę na mię, trochę łamanym językiem dał do zrozumienia, że chce się napić rumu. Gospodyni postawiła na stole butelkę. Marynarz wypił pół litra, zapłacił, i po-spiewując „Wołga, Wołga”, po-wędrował dalej.

Nazajutrz rano, przy sprząta-niu lokalu, karczmarzka zauważyła z przerażeniem, że jej gość, zamiast rumu, napił się formaliny. Chciała już biec do portu, aby się usprawiedliwić, gdy rap-tem ujrzała tegoż marynarza w towarzystwie kilku innych członków załogi „Udarnika”.

— Ej, baba! — zawołał mary-narz. — Dawaj rumu, tylko żeby był ten sam, co i wczoraj!

## W wagonie

Konduktor: — Panie, panie, proszę nie wysuwać tak głowy przez okno!

Podróżny: — Niby dlaczego? Konduktor: — Bo może pan uszkodzić słup telegraficzny.

## Przesady

Zapytano Wacława Filochow-skiego, czy wierzy w przesady. Odpowiedział, że tak. Zapytano następnie czy wierzy, iż człowiek, który ożenił się w piątek, będzie miał utracenie przez całe życie.

— Oczywiście — odpowiedział — oczywiście, wierzę. Bo czemu to piątek miałby być wyjątkiem.

## W cukierni

W cukierni Szwajcarskiej, gdzie solidni panowie zbierają się na pogawędkę, jeden ze sta-łych bywalców opowiada o trze-zieniu ziemi na Kreicie:

— Nie nie zwiastowało kata-strofy. Nagle dom zatrzęsł się w posadach, rozległy się krzyki i brzęk tłuczonych naczyni...

W tym miejscu inny gość prze-rywa opowieść:

— Przepraszam bardzo, ale właśnie przypominałem sobie, że w domu czeka na mnie żona.

## Oferma

Na dziedzińcu koszar daje o so-bie znać młody podporucznik. Za-trzymuje rekrutów i stawia im najrozmaitsze pytania. Właśnie ujrzał jakiegoś eleganta w do-brze skrojonej marynarce, kiwa nań i woła:

— Hej, rekrut, stać! Jak się nazywasz?

Zapytany wymienia nazwisko.

— A czym jesteście z zawodu?

— Jestem dyplomowanym puł-kownikiem...

## NA DZIKIM ZACHODZIE



— Hej, stary! Mój koń jest bar-dzo głodny. Czy nie można by tu gdzie dostać trochę paszy?

# Smiertelny wróg

Dziwna ma znajomości mój przyjaciel Teodor, ale człowiek, który nas minał wczoraj, zasłu-guje na szczególną uwagę. Oto, idąc z Teodorem Marszałkowską, byłem świadkiem takiej sceny: pewien starszy, nawet dość sym-patyczny pan, zmierzający na-przeciwno nam, na widok Teodora wzdrzgnął się, zgrzytnął zębami tak, że aż mi ciarki przeszły po krzyżu i spiorunowawszy niena-wistnym spojrzeniem mojego to-warzysza, przeszedł coby prędzej na drugą stronę ulicy.

— Znajomy? — spytałem z za-ciekawieniem.

— Mój największy wróg — wy-jasnił, uśmiechając się Teodor — wspaniała postać. Niepospolity charakter. Chcesz, to wstąpmy na kawę. Opowiem ci moją z nim hi-storię.

— Zaczęło się niewinnie — mó-wił w chwilę potem Teodor — od sztuk z kartami. Ten facet potra-fi robić fenomenalne sztuki z kar-tami. To jego specjalność.

Pewnego wieczora, właśnie wó-wczas poznałem mojego przysz-łego wroga, na przyjacielskim ze-branku u jednego z moich znajo-myh, wróg wzniecał powszechną sensację swemi sztukami karcia-nymi. Postanowiłem zefi zadzwieć.

— Teraz ja panu pokażę sztuk-kę — powiedziałem — jakiej pan nie tylko nie potrafił, ale jakiej pan w ogóle w życiu nie widział.

— Proszę, proszę — uśmiechał się drwiąco wróg.

Wziąłem z jego rąk talię kart, potasowałem z namarszczoną brwią i oddałem mu.

— Niech pan sobie wybierze jakąś kartę — rzekłem — obejrzy starannie, włoży do środka tali, potasuje i odda mnie.

— A pan zgadnie tę kartę? — roześmiał się szeroko sztuk-mistrz.

— Tak jest.

— To jest niemożliwe. Założył się z panem o co pan chce, że pan nie zgadnie.

— POCO mamy się zakładać? Za chwilę przekonam się pan, kto ma rację.

Wróg wziął karty.

— Mogę odwrócić się plecami?

— spytał.

— Proszę bardzo.

Ku powszechnemu zaciekawie-niu wróg wykonał całą manipula-cję, odwrócony odemnie.

— Proszę — rzekł, oddając mi karty.

Wziąłem talię, namarszczyłem się znowu, jak sam mistrz Bosco i przetasowałem starannie.

— Która z rzędu ma być pań-ska karta? — zapytałem wśród powszechnej ciszy.

— Niech będzie piąta — zadecy-dował wróg.

— Proszę uważać: pierwsza, druga, trzecia, czwarta...

— przekładałem karty palcami, i których wróg nie spuszczał oka.

— Nie, nie! — zawołał nagle — niech będzie siedemnasta, nie pią-ta. Można?

— Bardzo proszę, — uśmiech-nąłem się uprzejmie — może być siedemnasta. A więc piąta, szó-ssta, siódma...

Wyłożyłem wreszcie na stół siedemnastą kartę.

— Ta?

Wszyscy osłupieli.

— Ta — szepnął sztukmistrz pobladniętymi wargami. Ja osłupia-łem niemniej. Osłupiałem, gdyż

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

wypadki potoczyły się całkiem i-naczej, niż projektowałem. Mia-nowicie, miałem zamiar, kiedy o-każe się, że nie zgadłem, zawo-łać: „Nie ta! Widzi pan, że nie ta? Zgadłem, że nie ta”. I na tem miał polegać efekt komiczny, ja-kiem sobie wyobrażałem. Tymczasem

## NIEOCZEKIWANA KWESTIA



— Przepraszam panią, czy to miejsce jest wolne?

## Ciężki człowiek

— Widziałem wczoraj czło-wieka, który ważył dwie tonny...

— Kłamiesz, to niemożliwe!

— Ależ, pozwól mi skończyć. Ważył dwie tonny węgla na

sprzedaż.

## Dobra posada

Na szopie wędrownego cyrku wywieszono ogłoszenie tej treści: „Wolna posada pogromcy lwów do objęcia natychmiast”.

Zgłasza się młody człowiek. Dyrektor poddaje go przesłu-chaniu:

— Nie boi się pan lwów?

— Bynajmniej, jestem odważ-ny.

— A kiedy pan może zabrać się do pracy?

— Choćby zaraz.

— Doskonale się składa. To zajmij się pan wyniesieniem z klatki resztek po pańskim po-przedniku.

## Ocena

Anatol France pogardzał fał-szywym patosem. To też, kiedy przy stole zaczęto chwalić Ed-munda, nie mógł się powstrzy-mać od zrobienia uwagi:

— Tak, Rostand ma sławę i do-brze na nią zasłużył, gdyż od cza-sów Wiktora Hugo nie było tak banalnego poety.

## Niepewny pasażer

Znany adwokat warszawski p. Jan D-wski miał pilną sprawę do załatwienia w więzieniu moko-

co za trafił Zgadłem kartę właści-wą.

Opanowałem conajmniej zdu-mienie.

— Proszę. Kto z państwa poka-że taką sztukę? — ożwałem się z triumfem.

Oczywiście powodzenie było zu-pelne. Oparłem się wszystkim prośbom pokazania sztuki po raz drugi, ale sztukmistrz męczył mnie cały wieczór, abym go wta-jemniczył w sekret tej fenome-nalnej produkcji. Odmówiłem, rzecz prosta.

Nazajutrz, jeszcze leżałem w łóżku, sztukmistrz złożył mi wi-zytę.

— Panie — rzekł bez wstępu — całą noc myślałem, na czym po-lega pańska sztuka. Otwarcie po-wiadam: nie wiem. W życiu cze-goś podobnego nie widziałem. Co pan chce za zdradzenie mi sekre-tu?

— Nic. Tej sztuki nie mogę nauczyć nikogo.

— Magia? — spytał przycisz-o-nym szeptem wróg, nachylając się ku mnie.

— Nie magia, ale nie mogę.

— Gotów jestem do wszelkich

towskiem. Siada do taksówki, wy-mienia adres, a kiedy już zaje-chali, mówi do szofera:

— Proszę zaczekać. Wrócę za kwadrans.

— Ani myślę — odpowiada szo-fer — znam się na tem. Przed dwoma laty przywoziłem tu pew-nego pasażera, który wyszedł do-piero po upływie sześciu miesię-cy.

## W TOWARZYSTWIE



— To straszna kobieta! Nie ro-zumiem poprostu, jak można z nią wytrzymać pod jednym dachem. A jak pan sądzi?

— Niestety, jestem trochę skrzepowany swoim zdaniem, bo to moja żona.

# Z życia wybitnych ludzi

Znany dramaturg niemiecki Heinrich Kleist, miał niepropor-cjonalnie duże uszy. Kiedyś w to-warzystwie jeden z przyjaciół po-kpiwał z tego powodu z Kleista. Ten wyprowadzony wreszcie z równowagi, rzekł:

— Możliwe, że moje uszy są za-wielkie, jak na człowieka, ale za-to twoje są stanowczo zamałe — jak na osła.

Sławny matematyk Ryszard De-dekin, przeglądając pewnego razu którąś z encyklopedji, zauważył, ku swemu zdziwieniu, przy swo-jem nazwisku krzyżyk i datę śmierci. Od ręki napisał do wy-dawnictwa list tej treści:

— Uważam za swój obowiązek zakomunikować Panom, że w Ich wydawnictwie data mej śmierci jest niecisła, gdyż wkradła się tam pomyłka co do roku.

— Czy to prawda, że pan zna osobiście króla angielskiego? — spytało Whistlera w pewnym to-warzystwie.

— Ja? Króla? Skądże to przy-szło państwu do głowy?

— Król opowiadał sam o tem komuś.

— Ach, drodzy państwo, — od-powiedział Whistler. — Nie wierzę mu. Chwalił się tylko.

Znany sportsmen, Piotr Loper, przywiózł sobie z Hamburga, dla

celów sportowych dwa jelenie, które służyła w majątku jego prze-zwła „niemcami”. W kilka tygod-ni potem, w czasie polowania, je-den z jeleni został zabity. Loper wysłał do syna swego, znajdują-cego się w Buenos-Aires, tele-gram, zawiadamiający o wypadku, treści następującej:

— Jeden Niemiec został zabity. Zjedliśmy go z apetytem.

Przypadek chciał, że telegrafi-sta, odbierający telegram w Bue-nos Ayres, był naturalizowanym Niemcem.

Wstrząśnięty do głębi tem, że ktoś śmiał z apetytem spożyć jego rodaka, telegram skonfiskował i odwołał się do konsula niemieckiego. Konsul zakomunikował o fak-cie „ludożerstwa” posłowi nie-mieckiemu, a ten ostatni znow ministrowi spraw zagranicznych.

Sprawa zaczęła stawać się gło-sną i grozić zatargiem międzynaro-dowym. Pewnego dnia rząd argen-tyński otrzymał od posta swego w Berlinie telegram z prośbą o wy-swieślenie sprawy „zjedzonego niemca”.

Argentyńcy przerazili się szaleńcem i posadzili, że poseł ów dostał nagle pomieszanja zmys-łów. Dopiero po długiej wymia-nie telegramów, co trwało prze-szło dwa tygodnie, sprawa wyjaś-niła się ku zadowoleniu obu stron. Tylko biedny telegrafista za wywołanie zamieszania został usunięty z posady.

ofiar, aby poznać ten sekret — rzekł drżącym z napiętością gło-sem amator sztuk — pan wie, że jestem człowiekiem zamożnym. Proszę, niech pan wymieni sumę.

— Za żadną cenę nie zdradzę tego sekretu — zawołałem sta-nowczo.

Mój przyszły wróg dobił książ-żeczkę czekową.

— Dam panu trzy tysiące zło-tych za nauczanie mnie tej mani-pulacji — rzekł, wstając.

— Nie.

— A pięć tysięcy?

— Nie.

Amator sztuk magicznych siadł znowu. Dobił chustkę z kieszeni, otarł spocone czoło i wyszeptał.

— Wyplacę panu osiemnaście ty-sięcy pięćset złotych, bo tyle mam na koncie. Prócz tego gotów jestem wystawić panu weksle na dwanaście tysięcy złotych. Co?

— Nie.

Mój gość spojrzał na mnie błę-dnym wzrokiem.

— Albo pan jest wariat — szepnął — albo w tem jest jakaś piekielna tajemnica.

— Cóż to znowu? — zawołałem gniewnie — wypraszam sobie po-dobne poufałości!

— Przepraszam — szepnął zgnębiony sztukmistrz — ale dla-czego nie chce pan nauczyć mnie tej sztuki? Przecież trzydzieści tysięcy złotych to majątek.

— Nie chcę i już.

— Rozumiem. Pan jest zazdro-sny o tę sztukę.

— Tak jest. Ja jeden na świe-cie posiadam sekret tej sztuki. Był jeszcze jeden hindus, ale u-marł trzy lata temu.

Mojemu gościowi znowu oczy zabłysły.

— Panie — zawołał z mocą — oddam panu te trzydzieści ty-sięcy złotych sto akcyj „Permidolu” i plac w Czerniakowie.

— Nie.

Sztukmistrz spojrzał na mnie z nienawiścią i wyszedł.

Nie było go jakie trzy dni. Czwartego dnia popołudniu przy-szedł znowu. Widać od niego wód-ka.

— Pił z rozpacz, czy co? — pomyślałem.

— Panie — powiedział pokor-nie — przyszedłem spytać, czy się pan nie namyślił? Dam panu to wszystko, co mówiłem i jeszcze połowę hotelu w Bydgoszczy.

Zrobiło mi go się żal.

— Powiem panu prawdę — rzek-łem — ja wcale nie znam żadnej sztuki. To przypadek.

Poczem opowiedziałem mu wszystko.

— I pan myśli — rzekł drwiąco, wysłuchawszy całej historii — że ja uwierzę w tak nędzne skleco-ną ramotę? W tak miedolny wy-bieg?

— Nieczule bydlę! — wrzasnął w naglej furii, zrywając się z krzesła. — Zabiję, jeśli pan nie pokażesz mi tej sztuki!

Pohamował się jednak. Naprzód zaczął mnie przeproszać, a potem błagać na wszystkie świętości, że-bym mu zdradził mój sekret. Po-niżał się przede mną. Wyrywałem mu ręce, gdyż chciał mnie cało-wać po rękach. Wreszcie padł mi do nóg. Podniosłem go i placzące go, jak bóbr, wypchnąłem za drzwi.

Od tej pory stał się moim śmie-rtelnym wrogiem. Stop.

## Z kroniki wypadków

Ubiegłej nocy do mieszkanka pp. Mazurkiewiczów zakradł się włamywacz. Pani domu, przy-puszczając, że to mąż wraca, uderzyła złodzieja pogrzebaczem w głowę. Rannego zabrano do szpitala.

## Afront

Mozeskind i Loevy nienawidzą się śmiertelnie. Ale traf zrzadził, że obaj stanęli na czele jakiejś spółki akcyjnej. To też zachowa-ją się przyzwyczajeni i, podczas przerwy w posiedzeniu, prowadzą uprzejmą rozmowę.

— Tak tak — wzdycha Mozes-kind — jest tysiąc sposobów za-rabiania pieniędzy, ale tylko je-den jest sposób uczciwy.

— Jaki to jest sposób? — pyta Loevy.

W tym miejscu Mozeskind wy-bucha:

— Panowie, biorę was na świadków, że on nie zna tego spo-sobu!



Kiedy magikowi zabraknie piene-dzy na obiad.

## Okropny wypadek

Pan Salomon Rozenpik, prze-chadzając się pod Wilanowem, ujrzał w rowie wywrócone auto. Tuż obok leżeli trzej pasażerowie, najwidoczniej poszwankowani, i oczekiwali na pomoc.

— Kto z panów jest właścicie-lem samochodu? — zagadnął Ro-zenpik.

— Ja — odpowiedział jeden z potłuczonych pasażerów.

— A czy był pan ubezpieczo-ny?

— Byłem.

— A ci panowie byli ubezpieczeni?

Właściciel auta wyjaśnił, że ma z towarzystwem asekuracyjnym podpisaną umowę, na której pod-stawie wszystkie osoby jadące je-go samochodem korzystają z u-bezpieczenia. Usłysawszy te sło-wa, Rozenpik zawołał:

— Kochany panie, posuń się pan troszeczkę i pozwól mi razem z wami zacząć na pomoc!

## Caruso

Do sklepu z gramofonami wcho-dzi klientka i żąda płyty ze śpie-wem Caruso. Zrobiono próbę.

— Jakto — woła klientka, — to ma być Caruso? Przecież on śpiewa po polsku!

— Tak, tak, szanowna pani — tłumaczy sprzedawca — to jest przekład...

## Rzetelna firma

W składzie gotowych ubrań na Świętokrzyskiej:

— Włec pan ręczy, że te spod-nie są z czystej wełny?

— Nie chcę pana wprowadzać w błąd i powiem odrazu: Guziki są rogowe.

## Potwierdza się

— Słyszałeś, bankier Wajn-traub wycofuje się z interesów.

— Już nieraz o tym gadano.

— Tak, ale tym razem zadecy-dował prokurator.

— I cóż on ci powiedział?

— Że jestem lakoniczny.

— Co to znaczy?

— Nie wiem. Dla wszelkiej pewności wyrzniętem go na od-lew.

## W wytwornym świecie

Rzecz dzieje się w kawiarni. Elegancki pan odzywa się do nie-mniej eleganckiego pana:

— Ta brunetka, którą pan wi-dzi, to moja żona. A ta blondyn-ka, która z nią rozmawia, to mo-ja przyjaciółka.

— Co za dziwny zabieg okolicz-ności! Właśnie chciałem panu po-wiedzieć to samo, tylko w od-wrotnym porządku.

## ZBYT NAIWNY WYBIEG

